

# PROSCENIUM



SZKOŁA TEATRALNA – JAK SIĘ TAM DOSTAĆ?

LUBELSKIE KURSY TEATRALNE – CZEGO UCZĄ?

ROZMOWA Z MARCINEM PERCHUCIEM

CYMERMAN O LUBELSKIEJ SZKOLE DRAMATYCZNEJ



# POBOŻNE ŻYCZENIA?

BARTŁOMIEJ MIERNIK



## LUDZIE TEATRU

KAROLINA KALISZUK

Mieszczą się w kamienicy przy Ratajczaka 18 w Poznaniu. To ściśle centrum miasta. Początkowo zajmowali jedno piętro, dzisiaj już trzy – kilka sal do ćwiczeń, profesjonalna scena z nagłośnieniem i reflektorami, z garderobą. Studio Aktorskie STA założył aktor Łukasz Chruszcz. Zaczęło się niewinnie, od kursów letnich, dzisiaj to prężnie działająca instytucja, zatrudniająca wielu pedagogów prywatna uczelnia. Od początku stawiano tam na jakość kształcenia, promocji, doboru pedagogów. Dzisiaj trzyletni kurs kończy się dyplomami tworzonymi pod okiem miejscowych aktorów. A zespoły dwóch poznańskich teatrów dramatycznych należą do najznamienitszych w kraju. Oglądałem u nich późną jesienią *Levina* – stał na naprawdę niezłym poziomie. Widać było ogrom pracy włożony w spektakl przez tych młodych ludzi.

Dlaczego o tym piszę? Ano dlatego, że marzyłoby mi się takie studio teatralne w naszym mieście. Nie hochsztaplerka, nie uczenie klasyki z lat 70. zeszłego wieku, jak ma to miejsce w akademii Turowicza. Życzyłbym sobie poważnego traktowania młodych ludzi w naszym mieście, młodych, którzy pragną zostać aktorami. Im dedykuję ten numer „Proscenium”. ■

### SPECJALISTA DS. KONTAKTÓW Z MEDIAMI I SPONSORINGU

– *Niektórzy myślą, że praca działu marketingu jest taka przyjemna, że siedzimy przy kawie i w zasadzie nic nie robimy. Uważają, że każdy może przyjść i zająć się marketingiem, z łatwością sprzedać każdy spektakl. Są naprawdę zaskoczeni, gdy mają okazję zobaczyć, co faktycznie robimy i jak wygląda nasza praca* – mówi pani Ewa Sobkowicz, specjalista ds. kontaktów z mediami i sponsoringu Teatru Muzycznego w Lublinie.

Pani Sobkowicz zaprasza mnie do biura. Siadamy na kanapie w holu, by nie przeszkadzać innym pracownikom. Mam szansę zobaczyć plakat reklamujący spektakl *Fidelitas. Suita lubelska* – efekt pracy osób między innymi takich jak moja rozmówczyni. Okazuje się, że wcale nie tak łatwo jest wzbudzić zainteresowanie potencjalnego widza, którego chce się zaprosić na wydarzenie.

– *Praca w marketingu to wszelkie działania komunikacyjne mające na celu nakłonienie do udziału w spektaklach, widowiskach, koncertach, które mamy w repertuarze. Należy poinformować media, ale wysyłanie jednego e-maila do wszystkich jest mało profesjonalne. Wychodzę z założenia, że do każdego należy podejść indywidualnie. Personalne teksty są zupełnie inaczej odbierane. W mediach działam na tyle długo, by wystarczająco poznać to środowisko. Przez lata nawiązały się znajomości, dobre kontakty, a nawet przyjaźnie, dlatego do każdego staram się zwracać po imieniu. Żeby zareklamować spektakl, wydarzenie czy koncert, trzeba przygotować odpowiedni tekst, a także materiały promocyjne, które zainteresują odbiorcę, przyciągną jego uwagę. Pracy jest naprawdę dużo, zwłaszcza przed premierami.*

Zauważam, że poza udzielaniem się w internecie, pani Ewa robi biżuterię, czyta książki, chodzi na spotkania. Na

swoim blogu porusza nie tylko tematy związane z kulturą, ale także szereg innych kwestii. Zastanawiam się, czy trudno jest to ze sobą pogodzić.

– *W internecie można mnie spotkać o każdej porze. Blog był nastawiony na to, by promować artystów, bo mam fioła na ich punkcie. Ale nie jest tak, że promuję tylko „swoich”. Jak coś mi się podoba, to podaję dalej, by ludzie się o tym dowiedzieli, przekonali, czy jest warte zobaczenia lub usłyszenia. Daję z siebie wszystko, bo inaczej nie trafię. Udzielam się na wielu płaszczyznach i odnajduję się w tym, co robię.*

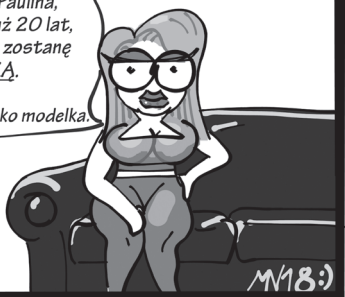
Dopytuję, jak to się stało, że pani Sobkowicz pracuje w Teatrze Muzycznym.

– *Praca tutaj to czysty przypadek. Gdy ze współniczką stwierdziłyśmy, że dajemy sobie spokój z prowadzeniem agencji reklamowej, obwieściłam światu w internecie, że zamykam działalność i będę szukała pracy. Zadzwoił do mnie ówczesny dyrektor Teatru Muzycznego. Zaproponował mi posadę, a dla mnie praca z artystami to miód na serce. Kocham ich i cenię za to, co robią. Wkładają ogrom starań w to, by nas zadowolić, rozśmieszyć, wywołać emocje, czasami wstrząsnąć. Sztuka to tworzenie piękna, ale również ekspresja. To, że aktorzy potrafią tak zadziałać na odbiorców, jest niesamowite. Praca, w której mam z nimi styczność, to czysta przyjemność. Zleciało prawie pięć lat, odkąd jestem w Teatrze Muzycznym. Ta praca daje mi zadowolenie, spełnienie. Czuję, że to jest to. ■*

rys. Michał Nakoniczewski

Nazywam się Paulina, skończyłam już 20 lat, w nowym roku zostanę POETKĄ.

Chcę dorobić jako modelka.



Zespół redakcyjny: Bartłomiej Miernik (redaktor naczelny), Kornelia Kurach, Karolina Kaliszuk, Mateusz Chról, Monika Błaszczak (korekta)

Współpraca: Łukasz Witt-Michałowski, Bartosz Siwek, Maciej Bielański, Michał Nakoniczewski

Skład i DTP: Katarzyna Długosz

Wydawca: Warsztaty Kultury w Lublinie

Kontakt: ul. Grodzka 5 A, 20-112 Lublin

gazetaproscenium@gmail.com

proscenium.lublin

Druk: Baccarat

Nakład: 800

Na okładce budynek Akademii Teatralnej w Warszawie



WARSZTATY KULTURY

TEATR MIEJSKI w LUBLINIE

## FESTIWAL SZTUKI

Środa, dnia 9 października, 1946 r., o godz. 16-tej

### PREMIERA

# MOST

JERZY SZANIAWSKI - sztuka w 3 aktach

Reżyser: Prof. I. ŁADOSIÓWNA

Czwartek, dnia 10 października 1946 r., o godz. 16-tej

### PREMIERA

# GODZINA WIEŚCZÓW

SŁOWACKI, MICKIEWICZ, KRASIŃSKI

Reżyseria: prof. BŁOŃSKA, ŁADOSIÓWNA, OSSOWSKA

Chór: prof. SZEŁIGOWSKA

Sobota, dnia 12 października 1946 r., o godz. 16-tej

# MOST

JERZY SZANIAWSKI - sztuka w 3 aktach

Niedziela, dnia 13 października 1946 r., o godz. 12-tej

# GODZINA WIEŚCZÓW

SŁOWACKI, MICKIEWICZ, KRASIŃSKI

W wykonaniu LUBELSKIEJ SZKOŁY DRAMATYCZNEJ pod dyr. I. ŁADOSIÓWNY

Dekoracje: J. TOROŃCZYK

Kostiumy: DANUTA ZAGRODZIŃSKA I J. TOROŃCZYK

foto: Most Szkoły Dramatycznej

Pierwszą próbę stworzenia szkoły teatralnej w Lublinie podjął już w 1838 roku Tomasz August Chęłchowski – wybitny pedagog teatralny, wychowawca wielu wybitnych aktorów polskich, późniejszy dyrektor Teatru Krakowskiego. Zwrócił się on do władz ówczesnej guberni lubelskiej z prośbą o zezwolenie na założenie w mieście szkoły dramatycznej i baletowej. Miała ona kształcić aktorów teatrów prowincjonalnych na wzór działającej w Warszawie od 1811 roku Szkoły Dramatycznej, której założycielem był Wojciech Bogusławski. Niestety władze carskie odmówiły Chęłchowskiemu zgody i Lublin musiał czekać na swoją szkołę aktorską aż do 1945 roku.

Wówczas to, w lutym, tuż po wyjeździe z Lublina Teatru Wojska Polskiego i zapadnięciu decyzji o uruchomieniu nowej instytucji teatralnej pod nazwą Teatr Miejski w Lublinie, powstało Studio Dramatyczne. Inicjatorami jego powstania byli lubelscy aktorzy na czele z Eleonorą Frenkiel-Ossowską (późniejszą legendą sceny przy ulicy Narutowicza) i Karolem Borowskim – wówczas kierownikiem artystycznym Teatru Miejskiego. Frenkiel-Ossowska udostępniła na potrzeby studia swoje mieszkanie przy ulicy Zielnej (boczna Wieniawskiej). Jak wspominała – pomysł założenia szkoły przyszedł jej do głowy podczas 24-godzinnej podróży z Warszawy do Lublina odbytej pociągiem wspólnie z wracającymi z frontu rosyjskimi żołnierzami.

Inicjatywa została zgłoszona władzom w porozumieniu z dyrektorem teatru – Antonim Różyckim. Pomysł zaakceptowano i w maju 1945 roku odbyły się egzaminy wstępne, podczas których z grona 50 kandydatów wyłoniono pierwszych 30 uczniów studia. Początkowo jego pracami

kierował Karol Borowski, później Irena Ładosiówna (aktorka i reżyserka, która jeszcze w czasie niemieckiej okupacji prowadziła w Lublinie tajne warsztaty teatralne), Czesław Strzelecki, wreszcie sama Frenkiel-Ossowska. W czerwcu 1946 roku studio zostało przekształcone w Szkołę Dramatyczną „zatwierdzoną przez Ministerstwo Kultury i Sztuki” (jak można było przeczytać na firmowej pieczęci). Przedmiotów praktycznych uczyli aktorzy lubelskiego teatru, natomiast zajęcia teoretyczne prowadzili wykładowcy Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego. Byli wśród nich wybitni humaniści – tacy jak prof. Juliusz Kleiner (historia literatury), prof. Kalikst Morawski (dzieje teatru powszechnego), prof. Maria Dłuska (fonetyka), ks. prof. Józef Pastuszka (psychologia) czy filozof Henryk Elzenberg. Z uczniami pracowały także szefowe działających wówczas w Lublinie szkół tanecznych – Maria Grodzka i Jadwiga Wirska – oraz ceniona pedagog muzyczna, Stanisława Szeligowska.

Rokrocznie w czerwcu organizowano otwarte popisy, a uczniowie zdawali zewnętrzne egzaminy organizowane przez Związek Artystów Scen Polskich. Komisjom egzaminacyjnym przewodniczyli między innymi Bohdan Korzeniewski i Leon Schiller. Ostatnie egzaminy odbyły się w 1949 roku, w 1950 roku utworzono na miejscu Szkoły Dramatycznej Państwową Szkołę dla Instruktorów Teatru Ochotniczego. Działała ona pod kierunkiem Frenkiel-Ossowskiej jeszcze dwa lata, po czym została rozwiązana decyzją władz, które stopniowo wygaszały tego rodzaju spontaniczne inicjatywy zrodzone w burzliwym tużpowojennym okresie. Zdażyło się przez nią przewinąć kilkuset młodych (choć nie tylko) ludzi, którzy pracowali później w teatrach i innych instytucjach kultury

w całej Polsce. Były wśród nich między innymi późniejsze gwiazdy polskiego teatru i filmu, jak na przykład Wiesław Michnikowski, Mieczysław Czechowicz czy Wojciech Siemion.

W krótkiej historii lubelskiej Szkoły Dramatycznej szczególnie mocno zapisały się pierwsze lata jej funkcjonowania. W tym okresie jej uczniowie angażowali się w prace prowadzonej w Lublinie przez Irenę Parandowską eksperymentalnej sceny „Nasz Teatr”. W 1946 roku przygotowali także bardzo dobrze przyjętą inscenizację *Mostu* Jerzego Szaniawskiego w reżyserii Ireny Ładosiówny oraz odważny w tamtym czasie montaż tekstów romantycznych *Godzina wieścików*, na który złożyły się fragmenty *Marii Stuart* Juliusza Słowackiego, *Irydiona* Zygmunta Krasińskiego oraz *Pana Tadeusza* Adama Mickiewicza. Ówczesne władze niezbyt chętnie godziły się na publiczne pokazy dzieł autorstwa naszych romantyków – w przypadku lubelskiego spektaklu dotyczyło to przede wszystkim mocno nasyconego chrześcijańską historiozofią *Irydiona*. Najwięcej jednak kontrowersji wzbudził sposób interpretacji narodowej epopei – młodzi ludzie mieli bowiem dość swobodnie potraktować słowa wieścika. Oburzona recenzentka miesięcznika „Teatr” odnotowała: „Za chybione uważać wypada jedynie sceniczne potraktowanie urywków z *Pana Tadeusza*, zbliżające je, wbrew zamierzeniom, do groteski. Przede wszystkim potępić trzeba dwuznaczną rolę narratora, który wygłaszając na wstępie inwokacje do Litwy, przemawia następnie tonem konferansjera, co ma posmak świętokradztwa”. ■

Jarosław Cymerman – teatrolog i literaturoznawca, kierownik Muzeum Literackiego im. Józefa Czechowicza w Lublinie.

# POSMAK ŚWIĘTOKRADZTWA

JAROSŁAW CYMERMAN



foto: Most Szkoły Dramatycznej



# POSZUKUJEMY LUDZI, KTÓRZY SĄ BIAŁĄ KARTĄ

Z MARCINEM PERCHUCIEM, DZIEKANEM WYDZIAŁU AKTORSKIEGO  
AKADEMII TEATRALNEJ IM. ALEKSANDRA ZELWEROWICZA W WARSZAWIE,  
ROZMAWIAJĄ LUIZA NOWAK I BARTŁOMIEJ MIERNIK.



for. atedupl

**Bartłomiej Miernik:** Przychodzi maturzysta na egzamin na aktorstwo. Czy kandydatów z Lublina coś wyróżnia?

**Marcin Perchuć:** Nie ma żadnego znaczenia, skąd kandydat pochodzi. W przypadku Lublina słyszymy niekiedy wschodni akcent, ale o to nie można mieć pretensji, bo jaki ma mieć, jak nie wschodni? Bywają też gwary czy jakieś naleciałości. Choć w kularach wiemy, że są silne ośrodki, które od zawsze wielu studentów, a potem absolwentów, dostarczają do warszawskiej akademii. Lublin się do nich zalicza.

**B.M.:** Są szkoły, pedagodzy, niekoniecznie w Lublinie, których podopieczni wygrywają konkursy amatorskie, festiwale. Czy bierzecie pod uwagę nazwisko pedagoga, nazwę prywatnej szkoły?

**M.P.:** W AT prowadzimy w soboty konsultacje dla kandydatów. Można na nich spotkać się z wykładowcami od przedmiotów praktycznych, aktorstwa czy techniki mowy i z nimi porozmawiać. Ukuliśmy stwierdzenie „więcej Pawła w Pawle” i „Weroniki w Weronice”. Szukamy ludzi otwartych, wrażliwych i emocjonalnych. Ale zależy nam, żeby to była wrażliwość Weroniki, a nie jej nauczyciela. Oczywiście zdarzają się pedagodzy, którzy nie zepsują Weroniki, przygotowując ją na egzamin na AT. Nie ukrywam, że jest to trudne. Trzeba się wtedy schować jako pedagog. Na pierwszym miejscu trzeba postawić swojego ucznia.

**B.M.:** Schować się jako artysta?

**M.P.:** Jako artysta, reżyser, animator. Trzeba skupić się na odnalezieniu Weroniki w Weronice i jej w tym pomóc. Zdarzają się i tacy nauczyciele, ale jest też grono, które narzuca młodzieży swoje zdanie. Wie, jak najlepiej powiedzieć *Pana Tadeusza* na egzaminie. Szybko to weryfikujemy, bo od razu widzimy, że wybór

tekstów nie należał do kandydata. Widzimy też, czy kandydat posługuje się tekstami z dostępnej w sieci listy „teksty do zdawania”. I wówczas nie oglądamy na egzaminie człowieka, tylko interpretację prowadzącego. W AT poszukujemy ludzi, którzy są białą kartą. Niech ją sami zapisują, a my postaramy się przyglądać temu procesowi i wskazywać, w którą stronę można ewentualnie podążać.

**Luiza Nowak:** Osoby, które dostały się do szkół aktorskich, często przychodzą właśnie bez doświadczenia. Z kolei kandydaci, którzy od dziecka mają styczność z grupami w domach kultury, nie zdają egzaminów. Zastanawiam się, czy to wynika właśnie z tego, że na pewnym etapie edukacji trafili niestety na pedagoga, który narzucił im swoją wizję?

**M.P.:** Na sobotnich konsultacjach pytam kandydatów, dlaczego wybrali akurat ten konkretny tekst. Padają różne odpowiedzi. Najczęściej mówią, że nauczycielka im go wskazała. Czasem jest to też pani z biblioteki albo pan prowadzący kółko teatralne. Wtedy mówię: „No dobrze, ale co ty w tym tekście widzisz?”. Pada odpowiedź: „Jest dobry do zdawania”. To mylny trop. Proponuję im, by sobie przypomnieli, kiedy na przykład śmiali się do łez lub płakali nad fragmentem prozy lub wiersza. Albo kiedy poczuli, że gdyby autor tego nie napisał, to oni by to napisali, gdyby tylko potrafili. Jeżeli przyjdą na egzamin właśnie z takimi tekstami, to będzie im łatwiej. Gdy wiedzą, że jeżeli nie wypowiedzą tego tekstu, to będzie koniec świata. Muszą to zrobić. I taka determinacja mnie przekonuje.

**B.M.:** Gdy czujesz autentyczną wypowiedź, ale kandydat/kandydatka ma na przykład problemy z artykulacją... Co wtedy?

**M.P.:** To już inna sprawa. Nasi pedagodzy potrafią zweryfikować, czy

wada wymowy jest nieodwracalna, czy da się ją poprawić.

**B.M.:** Zastanawiam się, na czym powinien skupić się kandydat na AT, jeżeli ma tylko pół roku do egzaminów. Czy na zlikwidowaniu takiej wady wymowy, czy może na interpretacji tekstów?

**M.P.:** Przez pół roku z wadą wymowy niewiele da się zrobić. Na egzaminach w komisji są specjaliści od techniki mowy, logopedii i emisji. Ocena końcowa to składowa ich ocen. Ale przecież wystarczy, że pójdziecie do dowolnego teatru i również usłyszycie wady wymowy. Można się zastanowić, czy skoro oglądam aktora na scenie i słyszę taką wadę, czy to znaczy, że jest coś nie tak z jego byciem na scenie? Czy może bardziej interesuje mnie to, co ma do przekazania? Jak mówi w określony sposób? Identycznie jest z kandydatami do szkół aktorskich.

**B.M.:** Wśród osób, które nie dostały się do szkół aktorskich, mówi się, że komisja szukała kandydatów pod dyplom. Istnieje opinia, że jeżeli na egzaminie było na przykład pięć pięknych blondynek, to wybrana została tylko jedna. Jak to skomentujesz?

**M.P.:** Krążyła kiedyś taka opinia, że dobry rok szkoły teatralnej to obsada *Wesela*. Musi być Rachel, Gospodyni, Jasiek, Pan Młody, Dziennikarz, ale i Parobek. W warszawskiej AT egzamin składa się teraz z trzech etapów. Na pierwszym mamy około ośmiu czteroosobowych komisji. Jako dziekan zawsze uczułam członków komisji, że jeżeli przesłuchujący ma cień wątpliwości albo cień nadziei, że coś z tego człowieka może być w przyszłości, to żeby przepuszczał do kolejnego etapu. Dalej przechodzi mniej więcej 450 osób. Jest tam dziewięćosobowa komisja i decyduje przez podniesienie ręki. Następnie jest etap konkursowy. Szukamy ciekawych osób i nie



przeszkadza nam, że na roku będzie siedem blondynek. Jeżeli są zdolne... Patrzymy na kandydatów jak na przyszłych aktorów. Dyplom oczywiście jest bardzo ważny, ale pytanie, co potem. Jeżeli wypuścimy siedem zdolnych blondynek, to będziemy przeszczeniwi, jeżeli potem zostaną w zawodzie i znajdą pracę.

**B.M.:** Jak byś zatem określił, jakie AT w Warszawie ma atuty? Zdasz sobie sprawę, że to pytanie na granicy promocyjnej.

**M.P.:** Każda szkoła ma mnóstwo zalet. Studiowanie aktorstwa daje możliwość późniejszej pracy na wielu polach, a teatr jest jednym z nich. To szkoła, która otwiera na świat, myślenie, wrażliwość, ale też zmusza do wydawania własnych sądów i często powoduje, że zaczynamy wbrew pozorom trzeźwo patrzeć na swoje możliwości. Z drugiej strony, AT wzbudza też wielkie nadzieje. W Warszawie szybciej mogą nas zweryfikować ludzie decyzyjni w zawodzie. Tutaj jest najbliżej do teatrów czy filmów. Jest też najwięcej możliwości pozateatralnych i pozafilmowych: dubbing, radio, reklama. Co zaś do samej uczelni, to oczywiście kadra. Chcemy, żeby składała się z praktyków. Mamy dużo warsztatów z innymi aktorami czy reżyserami. Ale przede wszystkim Warszawa jest centrum, jeżeli chodzi o możliwości tego, co po szkole.

**B.M.:** Kolejny raz wspominasz o „możliwościach po”.

**M.P.:** Bo uważam, że szkoła jest przedsionkiem, a nie celem.

**B.M.:** A co z tymi, którzy już po miesiącu nie dają rady i rezygnują?

**M.P.:** Nie rezygnują dlatego, że studia są dla nich za ciężkie. Jako dziekan wprowadziłem niepisaną zasadę, że „wytzymujemy” ze studentami cały pierwszy rok akademicki. U nas nie ma selekcji zimowej. Skoro już się

dostali, to dajmy im szansę. U nas jest też duża rotacja profesorów. Wychodzę bowiem z założenia, że jeden semestr, góra dwa z danym profesorem to wystarczający czas, żeby studenci mogli poznać różne spojrzenia na teatr, literaturę, bycie na scenie. Jeżeli ktoś na przykład na pierwszym roku nie poradził sobie na prozie, to biorę pod uwagę, że mógł się po prostu nie dogadać z prowadzącym. Trudno jest się ze wszystkimi dogadać. W naszej szkole student spotyka się z co najmniej ośmioma praktykami już na pierwszym roku.

**B.M.:** Pierwszy miesiąc to też fuk-sówka.

**M.P.:** Nie demonizowałbym tak fuk-sówki. Poza tym teraz to troszkę inaczej wygląda. Obecnie duży nacisk kładziemy na spotkanie z profesorami przed rokiem akademickim. Studenci, którzy przyjeżdżają do nas z całej Polski, otrzymują pakiet nieobowiązkowych, dwutygodniowych spotkań. W tym roku mieli między innymi wycieczkę po Teatrze Wielkim i Teatrze Powszechnym, w miejsca, gdzie nikt nie zagłąda. Oprócz tego zorganizowaliśmy też spacer po teatralnej Warszawie z wybitnymi teoretykami teatru. Mają również spotkanie z psychologiem. Jest na stałe zatrudniony od półtora roku. Zorganizowaliśmy też spotkanie z osobą, która uczy gimnastyki, ale jest jednocześnie specjalistą od spraw żywieniowych i zdrowego trybu życia. Nazywamy to higieną życia osobistego, fizycznego. Chcę, żeby studenci wzięli, że wysiłek psychiczny i fizyczny będzie im towarzyszyć przez całe studia, a potem podczas wykonywania tego zawodu. To wymaga odpowiedniego podejścia do samego siebie.

**B.M.:** Obalmy kolejny mit. Tych wszystkich anegdotycznych kuriozalnych zadań, które ponoć stawiacie na egzaminie.

**M.P.:** Zdarzają się kuriozalne zadania. Natomiast pragnę wszystkich uspokoić: nie mają one większego wpływu na wynik. Zdajemy sobie sprawę, że ludzie, którzy przychodzą na egzamin, na przykład nigdy nie byli w teatrze, nie dane im było przeczytać *Hamleta*. Zdarzają się przypadki, że ktoś jest ciekawy, ale mamy wątpliwości co do jego temperamentu. Chcemy więc sprawdzić, jaką ma wyobraźnię, i proponujemy, żeby zagrał szalony korkociąg. Nie jest to powodowane tym, by kogoś poniżyć czy podciąć skrzydła. Mieśliśmy przypadek, gdy pewna osoba zdawała, zdawała i zdawała. Komisja podzieliła się pół na pół. W końcu jeden z profesorów zapytał, czy kandydat kojarzy film *American Beauty*... tam taka plastikowa torebka latała, i czy mógłby zagrać tę torebkę. Wtedy ten młody człowiek zrobił fantastyką etiudę latającej torebki. Ale gdyby nie zrobił, to pewnie dalibyśmy mu jeszcze inne zadanie, żeby zobaczyć, czy da się go jakoś uruchomić. To nie jest zadanie sprawdzające na zasadzie: „skoro nie zagra pan zsiadłego mleka, to żegnamy”.

**L.N.:** Uznaliśmy w redakcji, że styczeń to chyba ostatni moment na rozpoczęcie przygotowań do czerwcowych egzaminów. Co w takim razie powinna teraz robić osoba, która myśli o zdawaniu na wydział aktorski? W internecie pełno jest ofert szkół, kursów przygotowujących i prywatnych lekcji.

**M.P.:** Kursów jest ze trzydzieści, a miejsc dwadzieścia cztery, więc już wiadomo, że nie z każdej szkoły ktoś się dostanie.

**L.N.:** Można też wpaść w sidła ofert, bo kandydaci czytają listy absolwentów tych kursów i wydaje im się, że taka szkoła spełni marzenia.

**M.P.:** Istnieją szkoły renomowane, po których można się spodziewać, że



# WSTĘP DO NAUKI

MONIKA BŁASZCZAK

dobrze przygotowują. Jest Lart w Krakowie czy Szkoła Aktorska Machulskich w Warszawie. Zdarzają się szkoły, które nie psują ludzi.

**B.M.:** Są też aktorzy, którzy indywidualnie przygotowują do egzaminów. Niektórzy z nich szczytą się niezłą zdawalnością. I kluczowe pytanie: kursy czy aktor.

**M.P.:** Łatwiej mi powiedzieć, czy przygotować się z kimś, czy samemu. Jestem wyznawcą metody: jedno, dwa spotkania z aktorem, a potem samodzielnie. Trudno przez dwa spotkania totalnie zepsuć człowieka. Wielu, którzy się dostają, mówi, że ostateczną decyzję podjęli, gdy szli zapłacić za egzamin. Niektórzy kandydaci niewiele się przygotowują, ale są też tacy, którzy mają przygotowane piętnaście tekstów. Widzimy wtedy, że komuś bardzo zależy, ale co z tego, skoro te teksty są identycznie mówione. Gdy dramatyczny monolog z Szekspira czy śmieszny fragment z Moliera zanurzone są w tym samym sosie, to nic się z takiej osoby nie wyciągnie. Podczas egzaminu do szkoły aktorskiej sam popełniłem błąd w doborze repertuaru. Wybrałem opis puszczy jodłowej z Żeromskiego i profesoro- wie nie wiedzieli za bardzo, jakie zadanie mi dać, bo zacząłem im mówić o drzewach szumiących... (*śmiech*) Wracając do pytania, jestem za tym, żeby pójść raz czy dwa razy na lekcję do aktora, żeby pokazał na przykład jakieś ćwiczenia na rozluźnienie szczęki. Podkreślam, na rozluźnienie, a nie jakieś zadania z korkami. Mało osób wie, że korek między zębami powoduje jeszcze większy zacisk.

**B.M.:** Najlepiej, gdyby to był praktykujący aktor?

**M.P.:** Taki, który powie: „chcę cię słuchać”. Uwagi typu: „mocniej zaakcentuj słowo »król«” albo „tu ściszej, żeby było tajemniczo” to żadne uwagi dla młodego człowieka. Zrobi to

„na małą”. Interpretacja nie będzie jego. Niech nauczyciel powie mu: „Tu jesteś interesujący, a przy tym fragmencie monotony. Spróbuj pomyśleć nad tym fragmentem dalej, sprawdź”.

**B.M.:** Znam przypadek dziewczyny, która była laureatką ogólnopolskiego konkursu recytatorskiego i nie przeszła nawet do drugiego etapu. I zastanawiam się, czy są na egzaminach osoby z takimi nawykami, że na pewno nie byliście w stanie nic już z tym zrobić?

**M.P.:** Czasami zdarza się, że przychodzą ludzie już tak dojrzały, niekoniecznie emocjonalnie czy psychicznie, ale tak włożeni przez kogoś w pewne tryby, wyobrażenie o zawodzie aktora, że więcej czasu by minęło, żeby to wszystko zedrzyć, niż dać takiej osobie się rozwinąć. Jeżeli uważa, że aktorstwo tak wygląda, to niech od razu idzie do zawodu. Akademia Teatralna przecież nie jest jedyną drogą do jego uprawiania. Niestety, coraz częściej się o tym przekonujemy. Dzisiaj recytatorów nie potrzeba w teatrze zbyt wielu. Teatr współczesny się zmienił. Odszedł od podejścia rapsodycznego, dyrektywnego. A nazwa „konkursy recytatorskie” została. Uważam, że to świetnie, że istnieją. Mogłyby ewentualnie zmienić nazwę, żeby tak nie przerażała. (*śmiech*) Faktycznie tak jest, że potem ci młodzi ludzie mówią: „ale przecież świetnie to recytuję”. A co to znaczy, że recytuje? Albo słyszę od nich: „powiedziano mi, że ja to świetnie interpretuję”. Boję się takich słów jak „recytowanie” i „interpretowanie”. ■

*Marcin Perchuć* – aktor teatralny i filmowy, od 2016 roku dziekan Wydziału Aktorskiego Akademii Teatralnej im. Aleksandra Zelwerowicza w Warszawie.

Jeśli się nie wie, gdzie należy szukać, łatwo można przeoczyć tabliczkę Akademii Teatralno-Wokalnej Jerzego Turowicza. Niepozorna brama na lubelskim deptaku wiedzie wprost do siedziby ATW, której pomieszczenia już kilka lat temu zostały wyremontowane i podobno dobrze służą młodym adeptom sztuki aktorskiej. Akademia dysponuje też własną sceną.

Najmłodsze grupy to już dzieci w wieku sześciu lat, ale siłą napędową szkoły zdaje się być jednak grupa najstarsza – „Adepci ATW” – w której uczą się głównie licealiści. Część przychodzi tam z jasnym celem – przygotować się do egzaminu na wydział aktorski państwowej uczelni. Inni nie mają jednak tak sprecyzowanych planów, chcą po prostu spróbować swoich sił w aktorstwie i spędzić w ciekawy sposób czas.

W planie zajęć „Adeptów ATW” znajdują się takie przedmioty jak: elementarne zadania aktorskie, interpretacja wiersza i prozy, dykcja, emisja głosu i piosenka oraz ruch sceniczny i taniec. Elementarne zadania prowadzi sam Jerzy Turowicz, na którego zajęciach grupa decyduje, czy chce zakończyć rok szkolny spektaklem. Zazwyczaj odpowiedź jest twierdząca – wtedy wszystkie lekcje są dostosowywane do przygotowywanego przedstawienia. Nie każdy projekt udaje się doprowadzić do końca, ale te, które zostaną ukończone, można na wiosnę obejrzeć na scenie akademii.

Materia, na której pracują uczniowie, przygotowując spektakle, to głównie tak zwana klasyka, teksty z bezpiecznego i przytulnego „kanonu”, dobrze znane i niestwarzające ryzyka, że się nie udadzą. Przykładowo *Śluby panięskie*, *Moralność pani Dulskiej* czy koncert piosenek





# ...MOJE TRZY GROSZE

BARTOSZ SIWEK



fol. Mateusz Kalinowski

## KOPIUJ, WKLEJ

W latach 20. ubiegłego wieku na horyzoncie ludzkości pojawił się nowy bożek. Zagadywał do ludzi i migotał do nich swym wielkim czarno-białym lub kolorowym okiem. Zamiłowanie do jego nauk rosnęło w błyskawicznym tempie. W latach 80. rozgościł się już na dobre w prawie każdym domu. Saturn, Neptun, Antares, Taurus, Rubin... Z czasem mityczny bożek – telewizor – doczekał się pomocnika w postaci komputera. Aby podtrzymać swą atrakcyjność i nie wypaść z obiegu, pierwszy z nich rozrósł się do niebotycznych rozmiarów ponad 100 cali, drugi natomiast zmalał, przytulił się do dłoni.

Jest rok 2018. Telewizja z internetem nami zawładnęła. Wielokanałowo dostosowana do potrzeb w perfidny socjotechniczny sposób. Kreuje nasze wybory, podsycza pragnienia, wpędza w chciwość. Przestajemy to zauważać, czasem udaje nam się złapać dystans. Przypomnieć sobie świat bez bombardujących nas z zewsząd ruchomych, łatwo dostępnych treści. Natomiast dzieci, nie znając innej rzeczywistości, są bezbronni. Nie posiadając odpowiednio wykształconej krytycznej oceny przyswajanych treści, ulegają manipulacji. Wchłaniają w siebie i powielają swym zachowaniem podpatrzony obraz. Tym samym zastępując swoją niepowtarzalną wrażliwość wykreowanymi sztucznie schematami... Od kilku lat pracuję jako instruktor teatralny w jednym z lubelskich domów kultury. Mam przez to styczność i możliwość obserwacji dzieci w różnym wieku. Zauważyłem u wielu z nich problem z wymyślaniem historii na zadany temat. Mają trudności w zamianie słów mówionych na konkretne obrazy i odwrotnie. W przerwie od zajęć prawie wszyscy sięgają po smartfona i „doładowują się” filmikami bądź grami.

W dawnych czasach ludzie, żeby się spotkać i wymienić informacje, zasiadali przy ognisku. Zacieśniło to więzi międzyludzkie i rozwijało wspólnotę.

W miarę rozwoju cywilizacji zaczęto gromadzić się przy stole. Sprzyjało to rozwojowi konwersacji. Następnie przyszła telewizja i ludzie przestali rozmawiać. Zasiadali co prawda jeszcze wspólnie, ale wlepiali tylko swe oczy w ekran, karmiąc je stopniowo coraz większą dawką bezguścia, tandety i pseudokultury. Kolejnym sprawcą degeneracji rzeczywistych więzi międzyludzkich został internet. Wspólnota ludzka rozpadła się na samotne atomy pływające w sieci. Pozór internetowej wspólnoty stał się dla wielu pułapką bez wyjścia. Na naszych oczach spełnia się koszmar, ciemność nadciąga, widzimy coraz mniej, ślepnąc we mgle nadmiaru bodźców i informacji. Gdzieś z tyłu głowy zapala się w nas ostrzegawcza lampka: „Strach przed nieustannie propagowaną techniką, która podnosząc nasz poziom życia, zwiększa prawdopodobieństwo gwałtownej śmierci” (Aldous Huxley, *Matka i duch*). ■

Bartosz Siwek – aktor Teatru im. H. Ch. Andersena w Lublinie.

## O DWÓCH TAKICH, CO UKRADLI ŚWIĘTA

Rzecz nieco jak z Kafki. Dwóch panów K., odkąd odkryło miasto Lublin, przechadza się po nim i kmieni, co zrobić, by było piękniejsze, ludziskom się w nim dobrze żyło, zaś turystom gały wybałuszało. Jeden we łbie ma pociąg myśli, który rzadko się wykołaja, a częściej zachwyca składem, a drugi jak Midas, czego się łapskami swemi nie dotknie – na złoto świecić zaczyna. Klucząc tedy po naszym grodzie przed samymi świętami, ten Manualny wykoncypował, że miasto nasze, z lekka o tej porze bez śniegu szarawe, okraścić by można kolorowymi lampionami, które gdzieś tam na półkach, zamiast cieszyć oko, kurzem obrastają. Drugi, ten Móżdżący, poinformował Pierwszego, że na inwestycję wieszania ozdób i okoliczność ich uelektrycznienia z racji końca roku żadnych finansów ze skarbcza miejskiego pozyskać się nie



fol. archiwum autora

# PASZTET Z KRYTYKA

ŁUKASZ WITT-MICHAŁOWSKI

da. Nie odstraszyło wyznanie to Pierwszego i wspólnie z Drugim rzecz całą własnym zorganizowali sumptem.

Plac, co to świeci na nim głównie fontanna, zaliczył nagle dodatkowych kilkanaście choinek, jako że drzewko z ozdobami to już jest choinka (nawet jeśli za choinkę robi w tym wypadku uliczna latarnia). Naonczas podniosło się larum, zrazu telewizyjne, następnie zaś portalowo-społecznościowe, jakoby dekor ów miejscowym bardziej z Pekinem niż Lublinem się skojarzył. Powstały nawet specjalnie na tę okazję konta fejsbukowe, coby ganić i moralizować, a snadnie pouczać pacykarczy niefrasobliwych.

Po pierwsze i najważniejsze – chińskie lampiony w polskie święta bożonarodzeniowe to hańba! Po drugie i ostateczne – nie po to płacimy podatki, by ratusz bezrefleksyjnie nabijał komuś kabzę! Na nic zdały się próby wyjaśnienia, że lampiony adwentowe, oraty kościelne, a panny roztropne. Gdyby nasi „odmieńcy” na drzewach pozawieszali bombki i uszczęśliwili tym samym hejterów, ci ostatni oddaliby pośrednio ułkon znenawidzonej Merkel, gdyż bombki wykonał po raz pierwszy nie kto inny, lecz jej rodak – Hans Greiner, roku pańskiego 1847.

Na stronie businessinsider.com przeczytać można o tegorocznych wydatkach miast polskich na iluminacje bożonarodzeniowe. Liderem z kwotą 6,5 miliona złotych jest miasto Warszawa. Lublin plasuje się na ostatnim miejscu z kwotą wydaną 0 złotych. Teraz zapewne ci sami krzykacze wkurwią się na to, że Lublin znowu ostatni...

Kocham to miasto, choćby przez wzgląd na obecność w nim takich panów K. Artyści na podobieństwo miast bywają bowiem czasem wieczni, a politycy zazwyczaj sezonowi. I niech ta myśl na nowy rok Boży raduje nas częściej, niż trwoży. ■

Łukasz Witt-Michałowski – reżyser teatralny, założyciel i dyrektor lubelskiej Sceny Prapremier InVitro.